ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK VII POZNAŃ STYCZEŃ 1937 NR 1 (63)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARIAN TURWID

Konstanty Brandel:



UKRZYŻOWANIE

Stanisław Helsztyński:

BAWARSKIE TUSCULUM PRZYBYSZEWSKIEGO

Kontakt w połowie r. 1908 z firmą Gebethnera i Wolffa zmienił cały tryb życia Przybyszewskiego w Monachium. Sute honoraria za powieści pozwoliły mu nietylko koniec z końcem wiązać, lecz umożliwiły nawet pewien luksus. Skończyły się skromne obiadki w studeckich jadłodajniach w pobliżu pinakoteki, pianino przestało wędrować do składu wynajmu, mieszkań nie zmieniano już lada miesiąc i nie szukano ich w najtańszej dzielnicy: rozglądnięto się też na rezydencję letnią. Poeta czuje nagle, że w dużych miastach pracować nie może: „Mimo, że w Monachium mamy mieszkanie w ciasnej i spokojnej ulicy, to już sama sugestja, że opodal, o 10 minut wre i kipi życie wielkomiejskie, nie daje mi spokoju do pracy".

Zrazu wybrano na letnisko miejscowość Kochel am See, godzinę drogi w Alpach Bawarskich na południe od stolicy. Duże, siedm mil kwadratowych mierzące jezioro, wyglądem przypominające poecie Gopło, było pierwszorzędną atrakcją zakątka. Dramat „Topiel", od tego jeziora wziął swą nazwę pod sugestją jednego ze znajomych. Naogół nie lubił Przybyszewski przyjaciół w Kochel, gdyż to przeszkadzało mu w pracy. Strzegł zazdrośnie swej samotności, uciekał dotąd przeważnie sam, zostawiając nawet żonę w Monachium, stwarzał atmosferę, która pozwalała mu „miewać wizję" jak za Zeyerem określał twórczość. Pracować mógł dziennie pięć godzin i to w silnem napięciu. „Podczas pracy palę mnóstwo papierosów,





i piję litrami czarną kawę. Legenda o podniecaniu się alkoholem jest idiotycznym i błazeńskim wymysłem. Podczas pracy niweczy alkohol związki myślowe, a ilekroć próbowałem podniecać się w pracy alkoholem, musiałem na drugi dzień manuskrypt do kosza rzucać. Natomiast zbawienną rzeczą jest alkohol po skończonej pracy: rozprzęga mózg, który gwałtownie chce dalej pracować, co ani spocząć, ani spać nie pozwala. Myślę tylko rano, gdy z łóżka wstanę, bo leżąco nie jestem w stanie myśleć. Zwykle chodzę kilka godzin po pokoju, robię w ten sposób parę mil dziennie i muszę zwykle moich współlokatorów prosić, by mi na to pozwolili, bo nie każdy znosi nad sobą to nieustanne krążenie".

Z wywnętrzeń tych, udzielanych pewnemu czasopismu, możemy sobie dość dokładnie odtworzyć porządek dnia Przybyszewskiego, gdy w miesiącach letnich, zwłaszcza w lipcu i sierpniu, korzystając z ciepła i przypływu energii witalnej zabierał się do pracy twórczej. Parę dalszych szczegółów uzupełnia ten obraz. „Czytam zwykle, gdy pracę dzienną ukończę i to bardzo mało. W toku pracy czytanie nic mi nie przeszkadza. Czytam tylko wtedy, gdy nie pracuję. Stale atoli czytuję polityczne gazety, bo niezmiernie mnie interesuje bieżąca polityka i sprawy kryminalne. Autorów, w których utwory bezustannie i zawsze z nową rozkoszą wczytywać się mogę, jest niewielu: Kasprowicz, Edgar Poe, Barbey d'Aurévilly, Huysmans, Ryszard Dehmel, Verlaine, Dostojewskij, de Coster Pozatem cenię wysoko wielu artystów polskich i mam mnóstwo ulubionych książek, najulubieńsze z zakresu okultyzmu.. Snu potrzebuję bardzo dużo. Zwykle sypiam 12 godzin dziennie, a często i więcej, gdy przez dłuższy czas intensywnie pracuję. A spać mogę o każdej porze i o każdej godzinie, wystrzegam się jednakowoż snu popołudniu, który mnie rozdrażnia. Jem przeważnie lekkie potrawy, lubię jarzyny wszelkiego rodzaju i owoce, mięso prawie że z konieczności. Czuję się czasem sportsmanem, gdy z żoną moją całymi godzinami wiosłuję wzdłuż i wszerz po jeziorze Kochelskim — nic dziwnego, że ten sport tak lubię: urodziłem się i wychowałem o kilka kroków od jeziora Gopła".

Mimo wszystkich ponęt tej podgórskiej miejscowości, sprzeniewierzył się jej Przybyszewski. Zawiniła, zdaje się, Norymberga i jej tchnienie średniowieczne, jeszcze bardziej szlak turystyczny, wiodąc poetę nad rzekę Tauber do frankońskiej mieściny, która cudem jakimś zachowała się tak jak stała w wieku XIII i XIV, z basztami, murami dokoła, zamkiem górnym, uliczkami i strzelistymi, gotyckimi szczytami domów. Od r. 1909 do 1914 było to odtąd ulubione miejsce pobytu Przybyszewskiego na miesiące letnie. Mieszkał stale u p. Höhne, właścicielki pensjonatu w pobliżu Burgtor, jednego roku dwukrotnie, raz na wiosnę, drugi raz pod jesień. Do dziś dnia żyje staruszeczka i wspomina przyjaźnie polskiego pisarza. Gościł w jej domu pięć czy sześć razy, od 15 dni do 2 miesięcy. Palił niesłychanie wiele papierosów, nie rozstawał się z butelką wódki, pracował wieczorami, przemierzając pokój tam i z powrotem, dyktując żonie. Trzymał się dość na uboczu, płacił regularnie, był bardzo „freundlich". Nie słyszała o nim od czasu wojny, wyjąwszy któryś rok, kiedy zjawił się nagle, a dowiedziawszy się, że zwinęła przedsiębiorstwo natychmiast wyjechał.

„Wszystko com dotychczas stworzył — oświadcza Przybyszewski w r. 1913 — powstało w małym, przepięknym, średniowiecznym miasteczku: Rothenburg ob der Tauber, lub też nad pięknym jeziorem Kochel w Alpach Bawarskich. Miasteczko zapadło mu tak głęboko w serce, że stało się podnietą do napisania dramatu-legendy, p. t. „Miasto". Miał zapewne na myśli Rothenburg, kiedy w uwagach scenicznych pisał, że widać „czerwoną symfonię dachów starożytnego miasta, które się rozściełiło u stóp zamku położonego na wzniesieniu". Zamek rothenburski należał ongiś do zakonu Johannitów, zamek Przybyszewskiego dzierży uzurpator Mścisław, przeciw któremu walczy Leszek. Dla obydwu gród, miasto, droższe jest niż miłość kobiety, ono jest symbolem władzy, życia książęcego i szczęścia. Żyjąc i ginąc, są w nie zapatrzeni i w nim rozmiłowani, jak poeta zapatrzony był i rozmiłowany w Rothenburgu.

Raz czy dwa razy hojna ręka przyjaciół umożliwiła Przybyszewskiemu pobyt w tym przedziwnym mieście. W liście do T. Toeplitza pisał poeta z wdzięcznością: „Za Twoje pieniądze żona moja stworzyła tu w Rothenburgu maleńkie *tusculum* dla mnie artysty. Sambyś nie uwierzył, coś twoją wierną, przyjacielską dłonią dla mnie zrobił... Wynajęliśmy małe mieszkanko, za śmiesznie małą cenę, co 120 mk półrocznie, żona małymi środkmi urządziła bardzo pięknie całe mieszkanie i, drogi mój Tedku, Tobo mam do zawdzięczenia i wypoczynek i absolutny spokój do pracy, którego w Monachium nie mamy". Być może, roku tego — 1913 — nie mieszkano u p. Höhne, gdyż poeta wspomina raz po raz w listach do żony o kolejnych fazach urządzenia domu na własną rękę: „Wszystko załatwione: lustro zreperowane, elektryczność zaprowadzona, lampa przyzwoita, zegarek wyporządzony, łańcuszek pozłocony, roboty stolarskie też załatwione, bardzo miły dywanik właśnie nadszedł z Monachium. Tylko Maciek — kanarek — i Stach bardzo stęsknieni. Moja robota — właśnie „Miasto" — idzie dobrze". Wiedząc, że praca rozwija się pomyślnie i mając przy sobie w Monachium córkę, Kasprowiczównę, pani Jadwiga nie bardzo tym razem spieszyła do Rothenburga. Toteż z czarownego tusculum bawarskiego szły do niej bezustanne apele, aby przyjeżdżała. „Wynająłem kawałek ogrodu, kupisz nasion, będziemy mieli kwietny ogród. Maciek dostał starą klatkę i znowu śpiewa, bo ta nowa oślepiała go, — i wszystko, wszystko jest w domu: tylko przyjeżdżaj! Powiozę Was do Norymbergi — co będziecie potrzebowały, to tam się wszystko kupi. Miałbym ciężki żal do Ciebie, gdybyś w sobotę nie przyjechała". Stanowczo, pustki nie umiał znosić nasz poeta nawet w *retraite du travail.*

Z przyjazdem pań wrócił humor. Rothenburg odzyskał znów swój dürerowski urok. Poeta wymykał się wieczorami do winiarenki, spijał frankońskie wino i gawędził z Niemcami, drażniąc ich swymi paradoksami. Bijąc w ich pychę narodową i rzekomą jedność kulturalną, dowodził im, że przemówi do nich takiem narzeczem niemieckiem, którego nie zrozumieją. — To niemożliwe.— „Niemożliwe? Uważajcie: „Kiełbaśniki zatracone, pierońskie. Całujta me w nos". Kujawskie wyzwiska padały gęsto w oniemiałe uszy bawarskich piwolubów, którzy zachodzili w głowę, ktore plemię niemieckie przemawia tak chrapliwie i zgrzytliwie. Egzotyczny gość śmiał się do rozpuku, zadowolony, że może ich wyprowadzić w pole.

Kiedyindziej, nastrojony idyllicznie, wśród swoich rozmarzał się i tęsknił: „Niczego nie pragnę od życia, ani dostatku, ani sławy — chcę usiąść na ławie prostej, sosnowej przed chałupą wybielaną — w moim Łojewie z gospodarzami, którzy mnie od dziecka znają i z nimi gadać, radzić, przemyśliwać nad sprawami małymi, bliskimi, drogimi".

Jan Piechocki:

EX RE CIEKAWEJ POWIEŚCI REGIONALNEJ

Mówią, że wśród mężczyzn wszystkie rozmowy kończą się anegdotami, facecjami czy wreszcie mniej lub więcej sprośnym dowcipem na temat kobiet. Oczywista nie ma reguły bez wyjątku. Jest przecież jeszcze jeden „odwieczny" temat, ale ten jest nieśmiertelny specjalne u nas, w Polsce. I to nie tylko w towarzystwie męskim. Porusza się go bez końca: w kawiarni, w pociągu, w poczekalni, na wiecach, w sejmie, w prasie. Jak grypa przechodzi różne fazy nasilenia. Przygasa, aby zawsze zyskać na sile — nie wymiera jednak nigdy. Tym tematem to *dzielnicowość*.

Bóg raczy wiedzieć, ile nabzdurzono o niej. Gdyby energię psychiczną, zużytą na dyskusje, spory, rewindykacje, oskarżenia i wyjaśnienia w tej materii, można było jakimś cudem zamienić w prąd elektryczny, starczyło by go zapewne na oświetlenie całej Polski. Zresztą mózgi i języki mniej by miały roboty, gdy by było więcej dobrej woli a przede wszystkim więcej zrozumienia dla faktów natury *gospodarczej i socjologicznej*, które wpłynęły na ukształtowanie się różnych typów psychicznych w poszczególnych dzielnicach. Ale jak to bywa — ludzie łatwo dostrzegają skutki a przyczyn z trudem dochodzą.

Cóż tedy zaważyło na odrębności psychiki Wielkopolan? Oczywista nastawienie na walkę gospodarczą z niemieckim zalewem, na pracę od podstaw, na pozytywizm. W ciągu zmagania się o byt trzech czy czterech pokoleń wytworzyły się u ludzi ziem zachodnich takie cechy jak: pracowitość, oszczędność, trzeźwość, kult dóbr materialnych, brak polotu, brak zrozumienia dla różnych imponderabiliów itp. Słowem same zalety i wady *mieszczańskie*. Zapewne procentowo biorąc mamy w województwach zachodnich więcej chłopów niż mieszczan, *miasto i miasteczko nadaje jednak ton życiu tych ziem*. Dodajmy odrazu: miasto i miasteczko często w 100 procentach polskie. O tym jednak mniej więcej wszyscy „gramotni" już dawno wiedzą. Natomiast nie wszystkim w Polsce wiadomo, że mieszczaństwo wielkopolskie powstało wskutek napływu ludności wiejskiej do miasta. Chłop wielkopolski nie rozdrabniał ziemi lecz kierował synów do rzemiosła, do handlu. (Jeśli było za co, jeden z synów zostawał księdzem, adwokatem lub lekarzem — kariera urzędnicza była dla Polaków w zasadzie niedostępna). Nie było do niedawna w Poznańskim rodziny mieszczańskiej, która by nie posiadała *najbliższych* krewnych na wsi, prawie zawsze wśród gospodarzy, rzadziej wśród ziemian. Proces urbanizacji odbywał się bardzo intensywnie mimo kontrakcji niemieckiej, posługujących się w ostatnich latach przedwojennych propagandą bojkotu firm i warsztatów polskich. Migrację synów chłopskich do miasta ułatwiał swobodny odpływ Żydów do wielkich ośrodków handlowych na Zachodzie, jak Berlin i Wrocław. Ziemie pod niem. zaborem (w szczególności Wielkopolska) przeżywały więc już kilkadziesiąt lat temu procesy narodowo-gospodarcze, które w tej chwili nabierają niebywałej aktualności w naszych województwach centralnych i wschodnich. Jest Wielkopolska krajem mieszczan polskich — jest ściśle biorąc krainą *zurbanizowanych (niedawno) chłopów*. (Zwrócił na to — bodaj po raz pierwszy tak wnikliwie — uwagę świetny publicysta, p. Ksawery Pruszyński, w reportarzu (Kraj polskich chłopków). Nasuwa się jeszcze pytanie, czy ubóstwo kulturalne wielkopolskiej warstwy mieszczańskiej nie jest wynikiem właśnie pewnej świeżości odziedziczonej chłopskiej prymitywności i prostolijności: niby już nie chłopi, ale jeszcze też nie na wyrafinowanej kulturze miejskiej wyrosłe generacje!

Oto kilka przesłanek które umożliwiają wyciągnięcie właściwych wniosków co do umysłowości i kultury społeczeństwa wielkopolskiego. Naturalnie nie wykluczam indywidualnych wyjątków i procesów ubocznych. Należy przecież uwzględnić olbrzymi wkład warstw ziemiańskich i duchowieństwa oraz przemiany dokonujące się od czasu odzyskania niepodległości. Jeśli jednak szukamy tego co *typowe* dla Wielkopolski, dla psychiki jej mieszkańców, zatrzymamy się przede wszystkim nad życiem tych rozlicznych Wrześni, Sremów, Szubinów, Jarocinów, Pleszewów — tak charakterystycznych, tak zażydzonych miast i miasteczek reszty Polski. Przed *literaturą regionalną* otwiera się wdzięczne pole tematów i motywów dotąd prawie nietkniętych. Z tym większą radością witamy powieść, której akcja rozgrywa się całkowicie na terenie poznańskiego miasteczka oraz w stolicy województwa wielkopolskiego.

Powieść *Józefa Kisielewskiego* pod tyt. *Powrót*)* jest beletrystycznym debiutem znanego publicysty. Utwór posiada pewne niedociągnięcie, właściwe debiutom. Autor snuje kilka wątków, niedość silnie z sobą związanych. W tym wszystkim problem centralny — konflikt duchowy bohaterki na tle alternatywy między głosem serca a obowiązkami wobec córki i opinii publicznej — rozmazuje się nieco. Postać księdza Leśniaka, jego akcja na rzecz bezrobotnych, miłość córki pani Anny do młodego ziemianina — pomijając liczne epizody drugorzędne — mnożą wątki fabularne i rozpraszają trochę uwagę czytelnika. Autor jakby wykazał pewne niezdecydowanie czy iść drogą powieści psychologicznej w duchu Mauriaca, czy drogą powieści obyczajowej na tle zagadnień aktualnych. Talent Kisielewskiego przypomina dobre ale młode wino, które nie przestało jeszcze fermentować. Mimo pewnych debiutanckich mankamentów zawiera „Powrót" *szereg bardzo wartościowych osiągnięć jako powieść na tle życia wielkopolskiego miasteczka.* Autor nie zadawala się czysto zewnętrzną stylizacją swego utworu na powieść regionalną, uwagę naratora skupił na psychice Wielkopolan, na *sprawach szarych, codziennych, mniej efektownych, mniej wpadających w oczy.* Mieszkańcy Zadości, miasta stolarki i centrum meblarstwa, w którym z łatwością rozpoznajemy Szwarzędz, posiadają *zalety i wady drobnomieszczaństwa wielkopolskiego.* Kisielewski pokazuje nam życie od dołu. Niczego nie idealizuje. Dziwi mnie nawet trochę, że w obrazie przedwojennej Zadości pominął zagadnienia narodowościowe i walkę z zaborcą. Tym samym jednak odbiega powieść bardzo szczęśliwie od szablonu różnych popularnych ramot, w których opisywano jedynie walkę z Prusakiem i nawałą germańską.

Zresztą, jak wspomniałem, mają mieszkańcy Zadości tyle wad co zalet. Jak wszyscy małomieszczanie, jak wszelka filisteria zachodnia. Ich odrębność, ich „inność" rysuje się dobitnie w refleksjach dr. Jakubowskiego, „przybysza" i samotnika. Trudno mu się zżyć ze społeczeństwem, które wyrosło w kulcie cywilizacji materialnej, przywiązuje dużą wagę do form zewnętrznych, wyznaczonych obyczajem i tradycją, myśli kategoriami grupowymi a żywi niechęć do wszelkich indywidualnych wyskoków. W społeczeństwie tym rządzą jednak rygorystyczne, twarde i surowe zasady. Podporządkowuje się im ostatecznie bohaterka. Anna

Nowotna odtrąci więc miłość i poślubi niekochanego ojca swej nielegalnej córki, aby spełnić obowiązek wobec dziecka, oczyścić się w oczach opinii, odzyskać pełne prawo obywatelstwa w Zadości. Postąpi tak, mimo że w życiu nie zaznała radości, że serce jej łaknie i pragnie wielkiego uczucia i rozkoszy. Jak jej otoczenie, wyznaje bowiem Anna zasadę:

„Życiem nie rządzi ślepy los, tylko okrutna logika, której nie możemy zrozumieć."

Nie ma w „Powrocie" tanich efekcików regionalistycznych. (Nawet miejsce akcji nie zostało oznaczone właściwą nazwą; o Poznaniu mówi się zwyczajnie „miasto"). Nie ma również w tej powieści Wielkopolan z panoram i oleodruków. Nie ma „idealizmu" z bagażem wielkich idei narodowych i fajerwerkami odświętnych słów. Pokazał zato autor — dyskretnie i jakby mimochodem — to, co stanowi mimo przykre, szorstkie obsłonki *źródło tężyzny zurbanizowanych chłopów: rygoryzm etyczny.* Coprawda rygoryzm nie w najwznioślejszej formie. Tym samym znalazł klucz do duszy mieszczan wielkopolskich. Na debiut powieściowy jest to dużo, nawet bardzo dużo.

———

Stanisław Czernik:

ZADUMA NAD HELSZTYŃSKIM

(NA MARGINESIE „PROROCTWA AMOSA")

Nigdy nie widziałem Helsztyńskiego. Zarys jego twarzy znam z portretów, jego sylwetkę duchową poznałem z licznych pism, brakowało mi jednak zawsze wyobrażenia przestrzennego: rzeźby. Obecnie uzupełniłem ten brak, zastanawiając się nad ostatnią książką autora, nad nowym przekładem biblijnym pt. „Proroctwo Amosa".

Helsztyński przedstawia mi się jak człowiek rozbijający skały. Uparty, zamknięty w sobie robotnik, zapracowany od świtu do nocy, nieustannie kruszący opokę twardą i nieprzystępną. Rozbija taką grań na łomy, miażdży kamienie, opokę zamienia na pole, na którym widzi w marzeniach słodkie żyto wielkopolskie, kwitnące i dojrzewające, a może winnice, benedyktyńskim wytworzone wysiłkiem. Wizja soczysta, marzenie zawsze młode, zawsze uwarunkowane realnym czynem, zawsze splątane z nim nierozerwalnym węzłem.

Tak sobie wyobraziłem Helsztyńskiego, symbolem niejako kasprowiczowskim. Każda symbolizacja jest poniekąd uproszczeniem, ale bywa także uchwyceniem najważniejszego rysu. Istnieją różnice talentów, zainteresowań, pobudek, wpływu środowisk, pozostaje jednak plemienny i, powiem nawet, klasowy rys wyodrębniający, który pozwala, jak w tym wypadku, określić wspólność, powstającą z pożywek tej samej kultury.

Na skalistym polu różnorodnych prac Helsztyńskiego powyrastały rośliny, które nie zawsze przynoszą pełnię zadowolenia. Można by krytykować te wszystkie niedostatki, które nieodłącznie cechują dzieło człowieka, wątłą realizację płomiennych marzeń. Ale są to prace obok których nie możemy przechodzić obojętnie. Kamieniste pola nie przemieniły się w soczyste łany, ale tkwią w nich zarysy przyszłych łanów. Czy łany te będą dziełem samego autora, czy rozprowadzi je dopiero syn lub wnuk (niekoniecznie w znaczeniu bezpośrednim, raczej „norwidowskim") — to sprawa innej kategorii. Dla nas ważne jest to, że odbywa się tego rodzaju praca, że poprzez kamieniołomny trud przygotowuje się przyszła niwa soczystego zboża, widziana w marzeniach gorliwego pracownika.



St. Helsztyński
(rysunek Stefana Szmaja)

Takie uwagi, którymi nie chciałbym ani ganić, ani chwalić autora, bo nie czuję się do tego powołany, nasuwają się, gdy czytam utwory poetyckie Stanisława Helsztyńskiego, a ostatnio jego przekłady z pism żydowskich Starego Testamentu. Księga Ozeasza, Kohelet, Pieśń nad pieśniami, wreszcie Proroctwo Amosa są dziełami niezaprzeczonej kultury i na pewno wśród polskich transkrypcyj biblijnych zajmują niepoślednie miejsce. Jeżeli chodzi o opracowanie poetyckie, książki te są znacznie wyższe od poprzednich — sonetów. W „Proroctwie Amosa" zadziwia erudycja wstępu, zdobywa uznanie dobra i czujna praca poetycka, ale jest w tej książce może „brak życia" (może inaczej by to trzeba określić), w każdym razie brak cechy, która pozwoliłaby czytać ją bez znużenia.

Jeżeli wolno mi na marginesie „Proroctwa Amosa" dać próbę syntetycznego ujęcia poetyckich poszukiwań Helsztyńskiego, to przede wszystkim wypada podkreślić dramatyczne zawikłanie twórczości poetyckiej autora: niewspółmierność chwytanej treści z danymi autorowi możliwościami urzeczywistnienia formalnego. Jako poeta jest Helsztyński lirykiem czystej krwi (dlatego jego dawna ballada liryczna „Mnich opactwa lubińskiego" jest najlepszym jego utworem) a jako prozaik posiada duże możliwości epickie. Te właściwości talentu Helsztyńskiego nie znalazły dotychczas własnego kanału. Liryk-poeta zagłębił się w epice i tę epikę wprowadzał do kanałów lirycznych. A przecież Helsztyński jest świetnym stylistą i jego skłonnościom opisowym odpowiadałaby proza artystyczna. Pieśń i elegia — z jednej, proza opisowa z drugiej — to naturalne drogi autora „Proroctwa Amosa".

Ale ten „rachunek" jest też mało istotny. Dzisiejszy Helsztyński, autor doskonałych artykułów i prac edytorskich, zmusza nas do zastanawienia się nad utworami sprzed lat dwudziestu. To utrudnia rzut oka na całość, bo mimo woli te opóźnione wydania zestawiamy z dzisiejszym Helsztyńskim. Pragnęlibyśmy więc gorąco dostać utwór współczesny, Helsztyńskiego nie z lat sielskich-anielskich lecz z okresu wieku męskiego.

Florian Jernas:

BALLADA BAMBERSKA

(Księgarnia »J. Dippel« w Poznaniu wydała świeżo tom wierszy Floriana Jernasa pt. **Księżyc nad Poznaniem.** Interesujący ten debiut młodego poznańskiego poety omówimy w jednym z najbliższych zeszytów Wici Wlkp. Z nowo wydanego zbiorku wyjmujemy jedną z najpiękniejszych ballad.)

Swatali bambrowi
Kawalerowi
Ze Starołęki
Poznańską bamberkę,
Której wdzięki
Znamy!

Przyjechał bamber autobusem
Do powabnej dziewczyny,
By na Starym Rynku
Odprawić oświadczyny –

Stanął na narożniku
Z daleka
I obserwował pilnie
I czekał...

A bambereczka stała wśród kwiatów
I przy studzieńce –
Na barkach niosła drewniane szuńdy
i stągwie w ręce.

Zalotnie w czepku skłoniła główkę,
A wiatr jej rozwiał sepiowe wstążki
I w biuście rozpruł białą sznurówkę,
Aż do brązowej i krągłej sprzążki.

A przy niej wodotryski
Sypały perełki
I woda się wiązała
W supełki...

Patrzył bamber na bamberkę
Ciekawie
I w bamberce
Zgubił serce
w mig prawie!

A wieczorem
Gdy nie było już ludnie,
Stanął bamber przy studni.

Stanął bamber przed bamberką i rzecze:
Maryno
Bamberska dziewczyno
Posłuchaj ino:

A ona ani drgnęła.

Jestem bamber bogaty,
Uczciwy i spokojny –
Mam dobre gospodarstwo
I dom w zieleń strojny.

Dam tobie miła wszystko,
Czegoć zapragnie dusza,
Tylko chodź ze mną dziewczuś
I odejdź od ratusza!

I klął się na wszystkie świętości,
Że ją kocha,
Że ją poślubić chce z miłości
Natychmiast.

A ona nic!
Stała psiajucha,
Jak gdyby głucha
Lub jak zaklęta.

Przyskoczył bamber do bamberki
I stanął przy niej zbliska –
I ją w miłosnym szale
Do piersi swej przyciskał.

A wtem policjant
Patrolujący na Starym Rynku –
Przychwycił bambra
Na gorącym uczynku.

Przyłapał bambra
Na pomniku w kwiatach
I poczytał go
Za wariata.

I odwieźć go kazał
Do szpitala na groblę,
A tam go zamknęli
Na trzy żelazne skoble.

Marian Turwid:

ARKADY FIEDLER — I JEGO NOWA KSIĄŻKA

W nudny któryś wieczór, w nudnej kawiarni, znudzony — przerzucałem dzienniki, napróżno, wśród politycznych ujadań, ponurych sensacyj i reporterskiej tandety szukając myśli czystych, jasnych słów i świeżych tchnień dalekiej, zgubionej czy wygnanej — urody życia. I już zamierzałem odsunąć z niechęcią stos gazeciarskiej sieczki, gdy — w ostatniej chwili, wzrok mój padł na tytuł zapowiadający felieton podróżniczy. Zabrałem się do czytania artykułu bez entuzjazmu, nazbyt już często rozczarowywany mizerią przeróżnych „wspomnień z podróży". Zazwyczaj bowiem włóczą się po świecie ludzie mający za dużo pieniędzy i za mało wyobraźni, którzy później, na domiar nieszczęścia, zarzucają redakcje pism „listami z podróży". Elaboraty tych wędrujących panów i paniuś, będące, w znacznej większości wypadków, dokumentami ślepoty, banalności i ograniczenia, tę tylko mają najgorszą właściwość, że zniszczyć są zdolne zupełnie, najpiękniejsze marzenie o krajach dalekich, lądach nieznanych, światach nieosięgalnych.

Pierwsze już jednak wiersze mojej przypadkowej lektury nastroiły mnie na ton raczej optymistyczny. Miast je, jak to zwykle nad gazetą, przeskakiwać wzrokiem całymi szeregami, począłem coraz uważniej wczytywać się w każde zdanie. Uderzył mnie zwarty, jędrny szyk tych zdań. Ich budowa prosta, czysta, rytmiczna. Zachwycił mnie styl felietonu. Nieczęsto na łamach dzienników spotykana szlachetność prozy.

Ale zachwyt nad pięknem prozy ustąpił niebawem zachwytowi nad treścią artykułu. Autor opisywał swe przeżycie w puszczy, ale jak opisywał. Niby to dawał prostą relację z kilku zdarzeń z włóczęgi, a w rezultacie, porywał z sobą czytającego na wspaniałą wędrówkę przez kraj daleki, nieznany a tak nagle zobaczony blisko i wyraziście, jak gdyby — zdania nie składały się ze słów i liter, lecz były rysunkiem, barwą, — obrazem o niesłychanej czystości i intensywności barw. I stało się, co się staje zawsze, ilekroć człowiek znajdzie się w kręgu oddziaływania sztuki. Odsunęła się nuda codzienności, atmosfera zniechęcenia i apatii ustąpiła miejsca głębokiemu wzruszeniu towarzyszącemu najwspanialszej ze wszystkich przygód: spotkaniu ze sztuką.

W kawiarni zapachniało nagle puszczą, pełną blasku, tajemnic i spraw tak niespodziewanych a nagle najważniejszych, jak n. p. sprawa walki modliszki z chrząszczem jednorogiem...

Przeczytałem artykuł jednym tchem. Ale na długo po przeczytaniu go trwał mi jeszcze pod powiekami obraz intensywnego życia nad brzegami Ukajali.

I teraz dopiero zainteresowało mnie nazwisko autora feljetonu. Komuż zawdzięczam wycieczkę tak niespodziewaną i piękną?

Arkademu Fiedlerowi.

Takie było nasze pierwsze poznanie się.

* * *

Później zawarłem z nim znajomość bliższą. Poznałem jego „Zwierzęta z lasu dziewiczego" i razem z nim wsłuchiwałem się ze wzruszeniem, jak „Ryby śpiewają w Ukajali". Stałem się entuzjastą jego twórczości. Zresztą jednym z wielu. Gdy Szymon Pigwa przed mikrofonem Rozgłośni Poznańskiej zdawał sprawę z ankiety p. t.: „Jaką najciekawszą książkę przeczytałem..." i gdy wymienił książki Arkadego Fiedlera, wówczas usłyszałem moje nazwisko wśród kilkunastu innych.

* * *

Ale nawet jeszcze wówczas nie wiedziałem o tym, że nazwisko: „Fiedler" znaczyło to samo, co dobrze mi znana „firma Fiedler". W zakładach tej firmy, w Chemigrafii Fiedlera w Poznaniu wykonano nie jedną kliszę dla „Oficyny Andrzeja Prądzyńskiego" drukującej „Wici W.". Jednak na gruncie poznańskim firma „Fiedler" znana jest nie tylko jako solidna placówka przemysłowa. Założyciel firmy, ojciec Arkadego Fiedlera, był bowiem nie tylko chemigrafem. Był — wbrew swemu niemieckiemu nazwisku — gorącym Polakiem, jednym z bojowników o Polskość Poznania. Stał w pierwszych szeregach najzawziętszych przeciwników akcji germanizacyjnej. Arkady — wzrastał więc w atmosferze ciężkiej walki, czystego patriotyzmu i w atmosferze młodego poznańskiego ruchu artystycznego, który w warsztatach starego Fiedlera znajdował sobie jedno z drobnych wprawdzie, ale wartościowych ognisk.

Arkady przeznaczony był na dziedzica firmy. Miał być jej dalszym ciągiem. W tym kierunku odebrał fachowe wykształcenie i odbył studia wyższe. Został — przemysłowcem. Do dziś jeszcze w jego paszporcie w rubryce: zawód figuruje określenie: — przemysłowiec.

* * *

Ten drobny fakt ilustruje najdosadniej do jakiego stopnia niespodziewany, nieoczekiwany, gwałtowny był skok Arkadego Fiedlera do literatury. Bo on do literatury nie „wszedł", on do niej — wskoczył. Rok temu, — nieznany przemysłowiec — stał się dziś najgłośniejszym przedstawicielem polskiej literatury podróżniczej. Stał się już — laureatem nagrody literackiej miasta Poznania.

* * *

Daleką drogę od solidnego poznańskiego przemysłowca do — laureata nagrody literackiej, odbył Arkady Fiedler w tempie tak zawrotnym, że zaledwie dostrzec można etapy tej wyprawy. Tempo jej tym bardziej jest zdumiewające, że w międzyczasie zdołał Arkady Fiedler przewędrować chyba z pół świata. I to przewędrować uczciwie, nie w kabinie samolotu pasażerskiego, ani w sleepingu międzynarodowych ekspresów. I bynajmniej na swą włóczęgę nie wyruszał Fiedler z natrętną myślą o łowieniu tematów literackich. Bo wtedy, gdy „firmę" oddawał żonie i gdy na zawsze rzucał swój warsztat, nie cele literackie były przyczyną ucieczki od zawodu, domu, miasta i ojczyzny. Co go poniosło — i czemu? Kiedy obudziło się w nim dojrzałym już człowieku, niezwalczone wołanie za dalą? I jak się to stało, że przemysłowiec, który dotąd ani jednego nie napisał wiersza chwycił nagle za pióro, i to nieomal od razu za świetne pióro literata?

Pragnąłem, by mi na te pytania odpowiedział on sam. Bo któż inny mógł wytłumaczyć historię niezwykłego przeobrażenia. A nadto poznawszy autora, pragnąłem poznać człowieka. Pisarza, któremu tyle zawdzięczałem niezwykłych wypraw, przygód i niezapomnianych wzruszeń.

* * *

— Nie łatwo ułowić tego włóczykija, — oświadczył mi red. Czesław Kędzierski, gdym się do niego, jako do jednego z bliskich znajomych Fiedlera, zwrócił z prośbą o pomoc przy odszukaniu autora „Kanady pachnącej żywicą". — W dodatku — dodał Wujcio Czesio, — Fiedler zaabsorbowany jest teraz bardzo swą niedaleką już wyprawą na Madagaskar. Przygotowania do tej wyprawy nie są wcale łatwe, gdyż nie

wiele u nas posiadamy literatury tyczącej się tej dalekiej wyspy. —

— A może, — zauważyłem — mogli byśmy się jednak Fiedlerowi nieco przydać. Zona moja spędziła kilka lat na Madagaskarze...

— O! W takim razie nie wątpię. że Fiedler zjawi się u was jak najprędzej. Od dłuższego już czasu żyje on przecież wyłącznie tylko tym jednym, myślą o Madagaskarze.

* * *

Zjawił się. Ciasna przestrzeń naszego mieszkania, zdawało się, skurczyła się jeszcze bardziej. Bo gość nasz wniósł z sobą jakąś — szerokość, rozmach jakiś nie na miarę, po żal się Boże, nowoczesnego, standard'owego człowieka i jego „nowoczesnych" klitek. Jego postać, jego gest inne mają wymiary, niż te, które „znormalizowano" starannie w koszarach kolektywów nazywających się życiem dwudziestego wieku. Nie sposób wyobrazić sobie Fiedlera w takim, czy innym mundurku, maszerującego grzecznie, w szeregu, równ. kroczkiem, ku jakiemuś wspólnemu szczęściu. Od razu widać: to jest człowiek, który maszeruje sam. Widać, choć indywidualność Fiedlera nie narzuca się bynajmniej łatwą wymową zewnętrznych form i gestów. Przeciwnie, Fiedler jest opanowany, skupiony, spokojny, rzekłbyś — chłodny. Tak chłodny, jak ci wspaniali mężczyźni Północy, którzy nie wypuszczając fajki z zębów, z uśmiechem patrzyli w twarz śmiertelnej przygodzie i szli na szaleńcze wyprawy. Fiedler jest jednym z nich, sylwetą, ruchem, twarzą, piękną męską twarzą z oczami sępa. Jak oni, Fiedler nie lubi pustego efektu wielu słów. Zna wagę słowa, szczerego, prostego, męskiego słowa. Mówi mało i jak by trochę z trudem. Tak samo, przyznaje się szczerze, jest z moim pisaniem. Pisanie — to dla mnie wielki trud. Wiele naniszczę papieru, zanim zdołam wyrazić to, co wyrażone być musi. Nie umiem pisać na zawołanie. Piszę tylko wtedy, kiedy zmusza mnie do tego nakaz wewnętrzny.

Skąpo mówi Fiedler o sobie i tajnikach swego literackiego warsztatu. A jednak to co powiedział wystarcza, żeby zrozumieć przyczyny niezwykłej dojrzałości jego prozy. Tak pięknej, że wybitni językoznawcy wskazują na nią jako na wzór nieskazitelnej nieomal polszczyzny.

Jest w tej prozie poznańska solidność roboty. Jak i nie mniejsza jest solidność, z jaką Fiedler przystępuje do przygotowywania swoich wypraw. Fiedler nie improwizuje swych podróży. Ustaliwszy cel włóczęgi na szereg miesięcy naprzód, przystępuje nasz podróżnik do prac przygotowawczych.

Nie bez prawdziwego podziwu przysłuchuję się jego rozmowie z moją żoną. Okazuje się, że Arkady Fiedler kraj do którego dopiero ma pojechać zna już tak, jak gdyby spędził w nim kilka co najmniej lat. Można by mniemać, że to rozmawia z sobą dwoje ludzi, którzy wspólne odbywali wędrówki po przez puszcze i wyżyny dalekiej wyspy. Najdrobniejsze szczegóły tyczące się położenia, klimatu, fauny i flory Madagaskaru nie są Fiedlerowi obce. Zna przeszłość wyspy, zna szczepy składające się na jej mieszkańców. Z ogromną uwagą notuje sobie najmniej ważny, zdawało by się, szczegół tyczący się wierzeń i zwyczajów Madagassów. Obserwuję go bacznie, gdy zagłębia się w oglądanie przedkładanych mu przez żonę fotografij. Czyni to nieomal ze wzruszeniem i z tak skupioną uwagą, że nic na świecie nie zdolne go w tej chwili od tego zajęcia oderwać. Podobnie, ogromnie trudno skierować rozmowę na inne tory. Z chwilą, gdy temat rozmowy oddala się od spraw związanych z Madagaskarem, gość nasz wyraźnie objawia brak zainteresowania. I znowu z całą szczerością przyznaje, że obecnie jedna tylko sprawa obchodzi go gorąco. — Znalazłem się już w sferze mojej najbliższej wyprawy. Wydaje mi się, że wylądowałem już w dalekiej Tamatave, i — że już wędruję szlakami Beniowskiego. Ile mnie czeka przygód na szlakach tego awanturniczego króla Madagaskaru, ile przeżyć i wzruszeń? I czyż wobec takich pysznych perspektyw włóczęgi można się jeszcze interesować czemkolwiek innym?

Jest jeszcze jedna przyczyna, która sprawia, że Arkademu Fiedlerowi tak trudno jest wychylić się po za krąg jego obecnych zainteresowań. Jest nią prawo twórczości, które wielki rzeźbiarz, Ksawery Dunikowski, sformułował tak: „Gdy powstać ma prawdziwe dzieło, twórca jego musi być nieustannie w sferze tego dzieła. Jego myśl i jego uczucia krążyć muszą wyłącznie dookoła niego. Każde wykroczenie po za sferę wykonywanej właśnie pracy mści się ciężko na jej artystycznej wartości."

Choć Arkady Fiedler nie napisał jeszcze ani jednego słowa na temat Madagaskaru, to nie mniej, już od kilku miesięcy powstaje jego nowa książka, jego nowy poemat o dalekiej, nieznanej, tajemniczej wyspie wspaniałej przygody.

Alfred Kowalkowski:

POEZJA ŻARLIWA

Ziemie zachodnie chlubią się wprawdzie niejednym wielkim poetą, lecz mimo wszystko przyznać należy, że odczuwanie piękna poetyckiego było tu do niedawna słabsze, niż gdzieindziej. Dziś ta oziębłość jest już niemal zwalczona, coraz liczniejsi są miłośnicy poezji, coraz częściej w parze z trzeźwym rozsądkiem — charakterystyczną cechą mieszkańca ziem zechodnich — idzie zdolność głębokiego przeżywania abstrakcji, nawet więcej — głód wzruszeń artystycznych.

W zjawisku tym nie ma jednak czegoś spontanicznego, przeciwnie — jest ono wynikiem pionierskiej działalności jednostki i grup, jednoczących się dokoła czasopism literackich, od poznańskiego „Zdroju" począwszy, a skończywszy na ukazującej się od 2 lat w Ostrzeszowie „Okolicy poetów". I oto wytworzyła sobie Wielkopolska specyficzny rodzaj poezji i własny typ poety, stanowiącego wykładnik zbiorowej psychiki społeczeństwa. Poezja to szczera i oryginalna, nie siląca się na sztuczności i dziwactwa Znajdujemy w niej zawsze myśl głęboką, filozoficzną, charakterystyczne nastawienie metafizyczne, religijność gorącą, płomienną, przeradzającą się nieraz nawet poprzez fanatyzm w kacerstwo. Dogłębne jest odczuwanie natury, współżyjącej z człowiekiem, złączonej z nim odłączną, tajemną więzią, będącej czymś żywym, czującym. A wszystko to łączy się z wiarą w piękno bezkompromisową i fanatyczną — nie uznającą połowiczności, skoro słowo nie jest pustym frazesem, lecz głęboko zapada w dusze, kształtując życie i czyny.

Taką była wielka poezja Kasprowicza, taką jest twórczość młodszej generacji poetów, chodzących zasadniczo własnymi drogami, lecz spotykających się zawsze na tej samej płaszczyźnie podświadomych może predyspozycyj psychicznych.

Ważną rolę w krzewieniu poezji na terenie Wielkopolski odegrał i odgrywa zawsze jeszcze poznański „Prom" z swym sztandarowym poetą Edwinem Herbertem. Wielokrotnie zdawało się już, że czasopismo upadnie, lecz poetyckiemu „Promowi" udawało się zawsze wypłynąć na spokojniejsze wody. Uporczywe

trwanie przy sterze, zadziwiająca żywotność, nieodstępowanie wzniosłych ideałów — oto wartości, dla których trzeba żywić prawdziwy podziw.

Ukazał się właśnie dziesiąty tom Biblioteki „Promu" w postaci pięknego zbiorku poezji Edwina Herberta pt. „Narodziny Płomienia". Autor, obdarzający nas czwartą już książką, uzyskuje tutaj pełnię wyrazu artystycznego, wykazując całkowicie dojrzałość poetycką, chociaż mogłoby się zdawać, że znajduje się jeszcze w stadium stałych ewolucyj, skoro dopiero teraz formułuje swe credo artystyczne. Nie konstatujemy jednak w związku z ostatnim tomem poezji Herberta faktu narodzin nowego poety, lub choćby jakiejś metamorfozy, zmieniającej z gruntu charakter jego twórczości. Poeta doszedł tylko w ciągłym rozwoju do punktu granicznego — bynajmniej nie zwrotnego — i tu, wkraczając już w nową dziedzinę, uświadamia sobie jeszcze raz cel drogi i własne stanowisko na wiodącym ku wyżynom szlaku.

I oto widzimy Herberta samotnego, na wskroś oryginalnego — mimo że ta oryginalność nie wykracza po za pierwiastki, wspólne wszystkim poetom Polski zachodniej. Kierunek jest więc ten sam, ale Herbert czuje się w swym zdobywczym pochodzie odosobniony. „Od gór przeczystych idę przez puste równiny nad ciemną wodę" — mówi o sobie, a kiedy spotyka wędrowca, nic go z nim mimo wspólnego pochodzenia nie łączy, prócz... „czaru mijania" i stają obok siebie: „jak dwa posągi wykute z tej samej skały — oboje dróg własnych wędrowcy uparci".

Ciągła wędrówka, mistyczny pęd ku nowym horyzontom, „zorzom dalekim" i dalej — „nad morza, kołyszące do snu" to drugi ważny motyw poezji Herberta. Przeradza się on w namiętność, pozwalającą zwać cierpienie radością, bo przez to wędrowiec „zyskać tę samotność może, wspaniałą wielkość pomijania, co oczom jasnym dal odsłania i do stóp kładzie drogę wśród bezdroży".

I właśnie dzięki takiemu pielgrzymiemu, mistycznemu nastawieniu dochodzi Herbert poprzez swój wielki metafizyczny niepokój do sformułowania własnego wyznania wiary — niezwykłego naprawdę, ale w zestawieniu z fanatycznym ukochaniem piękna przez poetę, — jedynie logicznego i zrozumiałego. Bo czym jest piękno? — To Bóg, odchodząc, „zostawił oddech swój" — a „ten oddech piersi bożej męczeństwa w pełni wart"...

Stąd rodzi się przepiękna idea wyrzeczenia, płomienny ascetyzm poety. Oddawać siebie i swe serce — te jest prawdziwa miłość, a nie — „brać coś na własność — posiadać". Lecz Herbert zdaje sobie sprawę z tego, że takie zasady wykraczają po za możliwości ludzkie, kiedy więc pisze: „to miłości sens najgłębszy — porzucanie", wie, że człowiekowi zostanie już tylko „ów miłości wieczny podszept — namiętność jako treść gardząca wszelkiem ciałem". Trzeba się więc wznieść ponad słabość człowieczeństwa — wyzbyć więzów ciała — naśladować Boga, bo „tak świat ukochał Bóg. On stworzył świat i odszedł".

W ślad za nim — w mesjanistycznym porywie duszy, człowiek, uskrzydlony męczeńską namiętnością uczucia, odrywa się od ziemi. W tym husserliźmie odnajduje się żarliwa wiara poety w piękno i na nim opiera się właściwie credo Herberta: „Niech umrze człowiek, gdy — narodzić ma się płomień".

Takie jest filozoficzne stanowisko poety — głęboko zaznaczone w najpiękniejszych wiewach tomu, przesyconego przy tym płomienną religijnością.

Charakterystyczne jest też pojmowanie przyrody, ożywionej, zantropomorfizowanej często, tak że człowiek współistnieje z nią, stając niekiedy na jej miejscu. Herbert, sublimując byt ludzki do wyżyn niemal boskich, nie waha się utożsamić siebie z przyrodą. Jest więc raz „kwiatem patrzącym wędrującym", a gdzieindziej czytamy: „otom przed Bogiem stanął ostrych gór łańcuchem, a już za chwilę będę rzeką, świtem, żniwem".

Dołączmy do tego aspektu wzajemne przenikanie się elementów muzycznych człowieka i przyrody, a otrzymamy całkowitą niemal charakterystykę twórczości Herberta, poety płomiennego, żyjącego jedynie muzyką piękna. Sam się zresztą Herbert najlepiej określa: „szedł muzycznie i nieubłaganie człowiek, który żył, kochał i umierał śpiewając".

Głębia myślowa w wierszach Herberta idzie w parze z mistrzowską, pełną urozmaicenia strukturą. Język jest prosty i naturalny, dostosowany do treści, jużto lapidarny, jużto rozlewny, w miarę ubarwiony metaforą, przechodzącą niekiedy w potężne wizje, że tylko wymienię: „gong słońca", „wędrowcy namiętni, urzeczeni dróg pośpiechem", „bór był kościołem z oknami wprost Boga" i wiele innych, piękniejszych jeszcze powiedzeń.

Rytmika także przypomina na każdym kroku, że mamy przed sobą poetę ogromnie muzykalnego. Niekiedy tworzy prawdziwe majstersztyki, np.:

...więc grusze rosły kształtem korali,
jaskółcze loty jak ryb migoty,
krzaki — ukwiały w żarach się chwiały —
o, życie cieniste i bardzo złote.

Ciągła zmiana rodzaju stóp metrycznych, rym średniówkowy i dodanie w ostatniej linii wykrzyknika — wpływają niezwykle na ożywienie treści. A zaraz w następnej zwrotce mamy gwałtowny przeskok, bo zaczyna się ona, dla podkreślenie momentów statycznych obrazu, monotonnymi obrazami:

...chłopiec kładł się na wznak jak umarły,
w śmierć wytężoną wrastał umyślnie,
brocząc młodością niebo ogarniał
i w księgach ognistych
widział swą przyszłość.

Większość wierszy zbiorku, choć może nie do tego stopnia wycyzelowanych, pozostawia — dzięki świetnemu dostosowaniu formy do treści — głębokie, harmonijne wrażenie. Zaledwie kilka utworów wydaje się zawierać pewne niedociągnięcia treściowe czy formalne.

Naogół jest to jednak poezja nad wyraz wartościowa, wysokiego naprawdę lotu. To właśnie — wraz z jej (mimo całej oryginalności) charakterystyczną dla Wielkopolski typowością — spowodowało, że poświęcamy jej tyle miejsca.

Tom wierszy Herberta stanowi poważną pozycję w dorobku leterackim ziem zachodnich. Oby, dzięki tchnącemu z tej książki żarliwemu, fanatycznemu ukochaniu piękna, coraz więcej było poezji w naszym życiu.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł.
Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Marcelińska 6 m. 1 — Przedstawiciel redakcji Alfred Kowalkowski.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.